

Nadchodzi nowa era globalizacji



prof. Mariusz Orłowski

Virginia Tech University, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Czy jesteśmy dziś świadkami końca dotychczasowej ery globalizacji? Czym się ona charakteryzowała i dlaczego można ją określić mianem „kowbojskiej”? Co nastąpi w jej miejsce – deglobalizacja, reglobalizacja, fragmentaryzacja globalizacji na dwa „światy” (amerykańsko- i chińskocentryczny), a może jeszcze inny scenariusz? Czy obecne przemiany mogą otworzyć nowe szanse przed Unią Europejską, czy też raczej jeszcze bardziej osłabiają jej pozycję na globalnej scenie? Co to wszystko może oznaczać dla Polski?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski, redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Czy jesteśmy dziś świadkami końca dotychczasowej ery globalizacji?

Zanim odpowiem na to pytanie, zacząłbym od rozrysowania szerszego kontekstu. Era ta miała swoje źródło w rewolucjach, jakie zaszły się w obszarach m.in. światowego handlu, transportu czy transferu wiedzy. Można powiedzieć, że stały się one siłami napędowymi globalizacji. W ostatnim czasie była ona napędzana jeszcze bardziej za sprawą niezwykle dynamicznego rozwoju technologicznego, w tym przede wszystkim eksplozji internetu oraz – w ślad za tym – rozprzestrzeniania się usług cyfrowych. W efekcie, nawiązując do teorii amerykańskiego ekonomisty Richarda Baldwina, doradcy ekonomicznego prezydenta George’a Busha w latach 1990–1991, na naszych oczach ma już miejsce trzeci *unbundling*.

Co to oznacza?

Baldwin oparł swoją analizę historii światowej gospodarki na fenomenie odseparowania fizycznego, które jego zdaniem jawi się jako jedna z głównych cech postępu fizycznego i gospodarczego. Wziął on pod uwagę trzy podstawowe koszty transportu: towarów, informacji (wiedzy) oraz ludzi (umiejętności). Na tle historycznej ewolucji tych kosztów, przedstawia on trzy zasadnicze rodzaje odseparowania, z których każde określa właśnie mianem *unbundlingu*. Aby zrozumieć dobrze ten ostatni, trzeba przyjrzeć się dwóm pierwszym.

Pierwszy *unbundling* nastąpił wtedy, gdy fizycznie odseparowane od siebie zostały miejsca produkcji i konsumpcji towarów. Zamożny Brytyjczyk już w XIX w. zjadał na śniadanie bułkę wypieczoną z amerykańskiej pszenicy, pijąc herbatę z Cejlonu lub Chin, słodząc ją jamajskim cukrem. A wszystko to podane było na obrusie utkany z indyjskiej bawełny. Globalny handel jest najlepszą manifestacją fizycznego rozdzielenia produkcji i konsumpcji, która stała się możliwa dzięki obniżeniu kosztów transportu – najpierw morskiego, później lądowego, aż wreszcie lotniczego.

Drugie odseparowanie nastąpiło już za naszego życia i związane było z coraz niższym kosztem transportu informacji. W praktyce umożliwiło to koordynowanie skomplikowanych operacji gospodarczych na odległość, czego uosobieniem jest rozrzucenie produkcji podzespołów urządzeń elektronicznych na całym świecie.

Spójrzmy, chociażby na iPhone'a – choć technologia jest amerykańska, wszystkie pozostałe, materialne części telefonu są produkowane w rozmaitych krajach azjatyckich, a składane są w jeszcze innym azjatyckim państwie. Bliższym nam przykładem jest produkcja niemieckich samochodów, które są fizycznie produkowane w Chinach czy krajach Europy Środkowo-Wschodniej, w tym w Polsce.

Na czym polega natomiast trzecie odseparowanie?

Trzeci *unbundling* opiera się na cyfrowej transformacji, która stała się katalizatorem przyspieszającym proces odseparowania usług od fizycznej obecności świadczących je osób. W praktyce: w jednym miejscu znajduje się źródło usługi, a w drugim – miejsce, gdzie ta usługa zachodzi. Staje się to możliwe dzięki fundamentom cyfrowej rewolucji – takim jak m.in.: sztuczna inteligencja, automatyzacja, robotyzacja czy digitalizacja włącznie z internetem rzeczy.

Cyfrowe technologie prowadzą do – jeszcze niezupełnie zrozumiałego przez ekonomistów – fenomenu dematerializacji gospodarki. Dobrobyt tworzy się w coraz większym stopniu przez niematerialne wytwory przemysłowe. W przypadku firmy Apple przeszło 95 proc. wartości dodanej powstaje w Kalifornii, choć fizycznie telefony są produkowane w Azji. Chodzi tu więc głównie o technologiczne, cyfrowe i organizacyjne *know-how* i o syntezę między materialnymi i niematerialnymi wyrobami.

Wskazywałoby to na to, że globalizacja – przynajmniej w sferze usług – nie „zwija się”, lecz powinna raczej nabierać rozpędu...

Owszem – pod tym względem globalizacja nabiera siły i będzie ona coraz większa, bo jesteśmy dopiero na progu rewolucji usług przez technologię cyfrową. Choć już teraz przecież konsultacja lekarska czy prawnicza *online* z lekarzem czy prawnikiem z drugiego końca świata nie brzmi wcale jak *science fiction*.

”

W sferze usług globalizacja nie „zwija się”, lecz nabiera siły i będzie coraz większa – jesteśmy dopiero na progu rewolucji tego obszaru przez technologię cyfrową.

Trudno też wieszczyć koniec globalizacji, mając na uwadze ciągłe rozprzestrzenianie się internetu, czyli systemu nerwowego całego świata. Dziś ludzie w Afryce czy Ameryce Południowej oglądają na swoich smartfonach to samo, co ogląda się w Europie czy Ameryce Północnej, co buduje też pewną globalną, zachodzącą ponad granicami państw, świadomość.

Są też i inne siły, które wzmagają obecnie procesy globalizacyjne – wśród nich wyróżnić można między innymi zmiany klimatu, których doświadczamy przecież na całym świecie, ale i pandemię czy migracje. A takich przykładów jest znacznie więcej.

Mamy zatem potężne siły, można wręcz powiedzieć: ogólnoswiatowe trendy, które napędzają globalizację, lecz z drugiej strony – jak się wydaje – jesteśmy dziś też świadkami działań mających na celu wsypanie nieco piasku w tryby tej maszyny, tak by proces ten nie dość, że przestał postępować, to wręcz – by nieco się cofnął. Czy podpisałby się Pan pod tym stwierdzeniem?

Każda akcja rodzi reakcję – nie inaczej jest w tym wypadku. Postęp globalizacji jest nie od dziś blokowany przez wiele, różnego typu zjawisk, do których – jako pierwsze z brzegu – zaliczyć można między innymi: sankcje gospodarcze, transformacje i rekonfiguracje łańcuchów dostaw (m.in. trendy *nearshoringu* i *friendshoringu*), bariery handlowe i finansowe, konflikty wojskowe, sojusze gospodarcze, polityki gospodarcze poszczególnych państw. Gdyby nie one – oraz wiele innych czynników, których nie zdążyłem wymienić – globalizacja zaszłaby przecież znacznie, znacznie dalej.



Postęp globalizacji jest nie od dziś blokowany przez wiele, różnego typu zjawisk, do których zaliczyć można między innymi: sankcje gospodarcze, transformacje i rekonfiguracje łańcuchów dostaw, bariery handlowe i finansowe czy konflikty wojskowe. Gdyby nie one, globalizacja zaszłaby znacznie, znacznie dalej.

Wśród reakcji na postępującą globalizację relatywnie nowym, choć niezwykle istotnym zjawiskiem jest konflikt między dwiema największymi gospodarkami – Stanami Zjednoczonymi i Chinami. W ich wypadku partner handlowy staje się jednocześnie nie tylko konkurentem, lecz również adwersarzem geostrategicznym.

Pociąga to za sobą konsekwencje, które będą odczuwalne w skali globalnej.

Zdecydowanie – na ten moment USA, które przez wiele lat forsowały globalizację i były jej największym beneficjentem, odżegnują się od niej. Prezydent Joe Biden jeszcze zaostrzył politykę nakładania sankcji – czyli *de facto* deglobalizacji – którą zapoczątkował jego poprzednik, Donald Trump, za co był przecież bardzo krytykowany. W tym momencie mamy na przykład do czynienia z bezprecedensowymi sankcjami przeciwko chińskiemu przemysłowi półprzewodnikowemu, w efekcie których tamtejsze firmy nie mogą otrzymać najnowszego *know-how* ze Stanów, ale i nie tylko. Amerykanie kontrolują tę gałąź przemysłu w ujęciu globalnym i swoją siłą są w stanie wpływać na to, by także przedsiębiorstwa z wielu innych państw nie wyposażały Państwa Środka w najnowsze technologie. Najświeższy przykład to wpłynięcie na holenderskie ASML, by nie sprzedawało swojej najnowszej technologii fotolitograficznej do Chin.

Co więcej, Amerykanie zabraniają nawet swoim obywatelom oraz osobom posiadającym tzw. zieloną kartę, pracy w chińskich firmach technologicznych. Stanowi to ogromny dylemat chociażby dla chińskich inżynierów posiadających podwójne obywatelstwo – współpraca z firmami z ich ojczyzny może sprawić, że zostaną poddani sankcjom, a grozi im nawet więzienie.

To *de facto* zaprzeczenie dotychczasowego amerykańskiego podejścia względem globalizacji...

Dokładnie – przemijająca era globalizacji przyspieszyła w latach 90., w momencie, gdy Chiny zaczęły odbudowywać swoją gospodarkę i stawać się „fabryką świata”. Amerykańskie firmy przeniosły tam masę swoich procesów produkcyjnych, co było dla nich niesamowicie korzystną transakcją – produkowały tanio w Państwie Środka, co pozwoliło im na osiągnięcie ogromnych marż na rynkach zbytu.

Dlaczego jednak Amerykanom aż tak bardzo zależy na powstrzymaniu Chin – co jest stawką tej rozgrywki?

Stany Zjednoczone chcą pozostać hegemonem świata i nie mogą dopuścić do tego, by Chińczycy przegonili ich w kluczowych technologiach, które najczęściej mogą znajdować wprost przełożenie na zdolności militarne. Jeżeli prym w tych obszarach będzie wiodło Państwo Środka, wówczas Amerykanie będą przegrywali na płaszczyźnie wojskowej. Stąd też imperatyw dla amerykańskiej polityki powstrzymania rozwoju geostrategicznego rywala.



Stany Zjednoczone chcą pozostać hegemonem świata i nie mogą dopuścić do tego, by Chińczycy przegonili ich w kluczowych technologiach, które najczęściej mogą znajdować wprost przełożenie na zdolności militarne.

Najciekawsze w tej historii jest to, że Chiny – z perspektywy gospodarki USA – od lat były, i nadal są bardzo „wygodnym” partnerem. Mówiąc wprost: dobrobyt amerykańskiego społeczeństwa zależy od gospodarki chińskiej – szacuje się, że gdyby Stany Zjednoczone się od niej oderwały, koszty życia Amerykanów wzrosłyby trzykrotnie. Koniec końców obydwaj giganci tkwią więc w klinczu, w którym rywalizując ze sobą, są jednocześnie od siebie mocno uzależnieni.

Nawiązując do pytania otwierającego naszą rozmowę – można zatem chyba mówić o końcu dotychczasowego modelu globalizacji. Zanim zastanowimy się, co nastąpi dalej, poprosiłbym o dwa słowa na temat tego, czym ów model się charakteryzował.

Powiedziałbym, że można go nazwać „kowbojskim”, gdyż nie istniał żaden korpus regulacji dla globalizacji. Wszyscy jej liderzy chcieli „wycisnąć” z niej jak najwięcej korzyści dla siebie w myśl podejścia „łap czego się da, byleby zarobić”. Doprowadziło to do powstania wielu monopolii w skali światowej, takich jak Facebook wśród platform społecznościowych, Amazon w obszarze handlu detalicznego czy Netflix w obszarze rozrywki. Większość beneficjentów tego procesu zakładała, że będzie on trwał w nieskończoność.

Brakowało pewnego multilateralnego porozumienia czy określenia ram, także prawnych, sankcjonujących, w jaki sposób globalizacja winna się rozprzestrzeniać między głównymi aktorami, uwzględniając też interesy tych mniejszych, w tym także społeczności lokalnych. Próbowano to zdefiniować Światowa Organizacja Handlu, jednak jej reguły były niewystarczające i przez wielu graczy lekceważone. Druga rzecz, że nakreślenie wyżej wspomnianych ram nie było też zadaniem prostym – wydaje się, że niezwykle szybkie tempo rozprzestrzeniania się globalizacji sprawiło, że nikt nie potrafił objąć intelektualnie jej fenomenu.

”

Dotychczasowy model globalizacji można nazwać „kowbojskim”, gdyż nie istniał dla niego żaden korpus regulacji. Wszyscy jej liderzy chcieli „wycisnąć” z niej jak najwięcej korzyści. Brakowało pewnego multilateralnego porozumienia, w jaki sposób globalizacja winna się rozprzestrzeniać między głównymi aktorami, uwzględniając też interesy tych mniejszych.

Przemijający właśnie model rozpędzonej, bardzo słabo kontrolowanej globalizacji miał sporo negatywnych stron. Przekraczał on wszelkie granice, prowadząc do rozmaitych konfliktów społecznych, walki o łańcuchy dostaw czy o surowce. Wprawdzie większość z tego modelu korzystała, to jednak jedni korzystali nieproporcjonalnie więcej od innych. Tu pojawia się aspekt psychologiczny: jeśli jednym powodzi się lepiej, ale jednocześnie znacznie gorzej niż innym, to zaczynają skarżyć się, że są wykorzystywani.

Wysokie notowania partii i polityków populistycznych w wielu zachodnich krajach miały źródło w pojawieniu się całych grup społecznych, które jednoczyło poczucie bycia stratnymi na globalizacji...

Zrzeszeni w nich obywatele obwiniali globalizację za utratę miejsc pracy czy spadek standardu życia. Choć Bogiem a prawdą, często spowodowane to było nie tylko samą globalizacją, ale też postępem innowacji oraz rewolucji technologicznej.

Koniec końców jednak osoby poszkodowane – przynajmniej ich zdaniem – przez globalizację, zaczęły czuć się zagrożone w swoich obyczajach, kulturze, a nawet w obszarze swojej tożsamości. Z kolei beneficjenci tego procesu mieli dla nich mało zrozumienia. Hillary Clinton określiła ich nawet mianem, *deplorables*, czyli „godnych pożałowania”. Podobnego typu zjawiska obserwowaliśmy też w Polsce – twierdzę, że jedną z linii podziału między zwolennikami dwóch największych partii politycznych w naszym kraju wyznacza niezadowolenie z nierównego korzystania z owoców globalizacji.

”

Osoby poszkodowane – przynajmniej ich zdaniem – przez globalizację, zaczęły czuć się zagrożone w swoich obyczajach, kulturze, a nawet w obszarze swojej tożsamości. Z kolei beneficjenci tego procesu nie wyrażali dla nich krztyny zrozumienia.

Jaką zatem ścieżką globalizacja może pójść w nadchodzących latach – będziemy mieli do czynienia z deglobalizacją, reglobalizacją, a może należałoby zakładać jeszcze inny scenariusz? W przestrzeni publicznej pojawiają się różne pomysły, w tym tak abstrakcyjne, jak nawet odcięcie Chin od wymiany gospodarczej z Zachodem...

W tym momencie nie wiadomo jeszcze, w jakim kierunku to wszystko się potoczy. Sądzę jednak, że będą pojawiały się naciski na uregulowanie globalizacji, wprowadzenie pewnych zasad. One niekoniecznie muszą być spisane – w wypadku państw zachodnich chodziłoby więc chociażby o skracanie łańcuchów dostaw, o dywersyfikowanie pozyskiwanych zasobów, o przedkładanie interesu bezpieczeństwa nad interesem ekonomicznym. Dochodzą do tego też obserwowane już trendy *nearshoringu*, czyli lokowania produkcji geograficznie jak najbliżej rynku zbytu, czy *friendshoringu*, czyli stawiania na zacieśnianie relacji gospodarczych z krajami nam przyjaznymi, wyznającymi podobne co my wartości.

Z kolei pomysły odseparowania się od pewnych państw, a już z pewnością tak potężnych jak Chiny, są dość naiwne. Globalna gospodarka stanowi dziś skomplikowaną sieć połączonych ze sobą naczyń i o ile wyobrażam sobie wprowadzenie ograniczeń wymiany międzynarodowej w obszarze najbardziej newralgicznych technologii (nowoczesnej elektroniki, sztucznej inteligencji, technologii kwantowych etc.), o tyle nierealnym scenariuszem jest wprowadzenie całkowitego embarga na import chińskich produktów do Europy czy USA i *vice versa*.



Globalna gospodarka stanowi dziś skomplikowaną sieć połączonych ze sobą naczyń i o ile wyobrażam sobie wprowadzenie ograniczeń wymiany międzynarodowej w obszarze najbardziej newralgicznych technologii, o tyle nierealnym scenariuszem jest wprowadzenie całkowitego embarga na import chińskich produktów do Europy czy USA i *vice versa*.

Jaka w nowej odsłonie globalizacji może być rola innych niż UE, USA i Chiny światowych potentatów?

To dobre pytanie, szczególnie w kontekście bardzo eurocentrycznej perspektywy na problemy świata, w której generalnie w Polsce tkwimy. Z pewnością w nadchodzących latach w znacznym stopniu będzie się umacniać międzynarodowa pozycja Indii, czyli – już niebawem – najbardziej ludnego państwa świata. To zasadniczo jeszcze regionalne mocarstwo, coraz mocniej wchodzi w międzynarodową grę polityczną oraz gospodarczą. Już w tym momencie przenosi się tam z Chin wiele łańcuchów wartości, co więcej Indie mają też dziś bardzo dobry dostęp do taniej rosyjskiej ropy naftowej, którą po pierwsze wykorzystują sami, budując konkurencyjność własnego przemysłu, a po drugie – odsprzedają, z odpowiednią dopłatą, do Europy.

Kolejnymi bardzo ważnymi aktorami globalnej gry będą też bez wątpienia Brazylia, czyli gospodarczy lider Ameryki Południowej, czy Indonezja, czyli – o czym często zapominamy – kraj z niemal 280 milionami mieszkańców. Nie można lekceważyć potencjału rozwojowego tych gospodarek.

Czy scenariusz, w którym państwa BRICS przejmują pałeczkę światowego lidera z rąk Stanów Zjednoczonych, wspartych przez Europę oraz kilku gospodarek pokroju Japonii czy Korei Południowej, wydaje się być w nadchodzących latach realny?

Jeżeli państwa BRICS się zjednoczą, będą stanowiły bardzo poważne zagrożenie z perspektywy Zachodu. Szczególnie gdy słyszymy, że do tej grupy chcą też dołączać inne państwa, jak chociażby – o czym ostatnio słyszeliśmy – Arabia Saudyjska, czy nawet być może Turcja.

W tym kontekście warto wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy – celem Chin jest detronizacja dolara jako światowej waluty, w której przelicza się zdecydowaną większość transakcji. Z globalnego monopolu dolara Amerykanie czerpią niesamowite korzyści – mogą ich drukować, ile chcą, bo ciągle jest na nie popyt: wszystko opłaca się i wymienia właśnie w tej walucie. Gdyby w tej materii nastąpiła zmiana – za sprawą np. digitalnej waluty, nad której wprowadzeniem pracują obecnie Chińczycy – bardzo osłabiłoby to amerykańską pozycję.

”

Celem Chin jest detronizacja dolara jako światowej waluty, w której przelicza się zdecydowaną większość transakcji.

Przenieśmy się wreszcie na Stary Kontynent. Unijna gospodarka od dobrych kilkunastu lat traciła swoje znaczenie na gospodarczej mapie świata, a wśród jej zasadniczych mankamentów wymieniano m.in. prymat polityki handlowej nad przemysłową, nadmierną biurokracją, a także powiększającą się lukę technologiczną względem USA oraz Chin. Czy koniec dotychczasowej globalizacyjnej ery może być szansą na *katharsis* europejskiej gospodarki, na „wymyślenie UE na nowo” w globalnej układance?

Nie byłbym optymistą – Unia Europejska znajduje się dziś w bardzo złej sytuacji geopolitycznej. Jej globalne znaczenie zaczęło topnieć na długo przed pandemią i konfliktem w Ukrainie. Tak jak Pan wspominał – w obszarze nowoczesnych technologii Wspólnota nie ma prawie nic do powiedzenia, będąc daleko w tyle za liderami. Nie służy nam także demografia, a integracja migrantów spoza Starego Kontynentu – czyli potencjalnych „rąk do pracy” – nie przebiega tak, jak moglibyśmy to sobie wymarzyć.

”

Unia Europejska znajduje się dziś w bardzo złej sytuacji geopolitycznej. W obszarze nowoczesnych technologii nie mamy prawie nic do powiedzenia, będąc daleko w tyle za liderami, nie służy nam także demografia, a integracja migrantów, czyli potencjalnych „rąk do pracy”, nie przebiega tak, jak moglibyśmy to sobie wymarzyć.

Dotychczas gospodarka unijna radziła sobie przyzwicie w skali globalnej w obszarze tzw. starych technologii – w dużej mierze dzięki dostępowi do tanich nośników energii z Rosji. A teraz jest od tych źródeł odgradzona, a import z innych kierunków będzie następował po znacznie wyższych cenach. Tym samym – na płaszczyźnie cenowej – Europa nie będzie w stanie konkurować z USA, a już na pewno nie z Chinami czy Indiami.

Od pewnego czasu Unia Europejska promuje jednak strategię *Green Deal*, za sprawą której chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: osiągnąć ambitne cele klimatyczne oraz „uciec do przodu” w obszarze nowoczesnych technologii energetycznych, które – według założeń – mają być jednym z najistotniejszych wehikułów całej unijnej gospodarki. Czy nie jest to dobra szansa na jej transformację – ze starych technologii w nowe?

Uważam, że Europa znajduje się dziś w potrzasku. Hasło stawiania na odnawialne źródła energii brzmi bardzo dobrze, ale spójrzmy na fakty – największym producentem energii wiatrowej są dziś Chiny, następnie USA, dopiero później Niemcy, a za nimi Indie. Jeśli natomiast sprawdzić, kto produkuje najwięcej urządzeń w tej technologii, to na czele znajdują się dwie firmy z Państwa Środka. Z kolei w obszarze fotowoltaiki, 80 proc. wytwarzanych na świecie paneli solarnych, również pochodzi z Chin. Europejska zielona transformacja zakłada także zastąpienie pojazdów spalinowych pojazdami elektrycznymi. Będzie to wymagało ogromnego wydobycia i przetapiania miedzi. A kto jest jej największym producentem? Oczywiście Chińczycy.

Niestety, na ten moment wiele wskazuje na to, że realizacja Zielonego Ładu będzie oznaczała jeszcze większe uzależnienie się od azjatyckiego giganta. Grozi nam zatem scenariusz wpadnięcia z deszczu pod rynnę – odcinając się od zależności importowej w obszarze paliw kopalnych, wchodzimy w pułapkę geostrategiczną, jaką jest niemożność funkcjonowania bez dostaw chińskich surowców krytycznych z punktu widzenia tzw. gospodarki przyszłości. Na „pocieszenie” dodam tylko, że najprawdopodobniej i tak byśmy w nią wpadli, wszak ogromna większość zasobów metali ziem rzadkich oraz innych pierwiastków potrzebnych do produkcji nowoczesnej elektroniki czy baterii, znajduje się na obszarze Chin, bądź też jest pod ich kontrolą.



Grozi nam scenariusz wpadnięcia z deszczu pod rynną – odcinając się od zależności importowej w obszarze paliw kopalnych, wchodzimy w pułapkę geostrategiczną, jaką jest niemożność funkcjonowania bez dostaw chińskich surowców krytycznych z punktu widzenia tzw. gospodarki przyszłości.

Trudno sobie jednak chyba wyobrazić, by Unia, konsekwentnie od lat realizująca swoją politykę klimatyczną, miała jednak zejść z tej ścieżki...

Nie przeczę, że zielona transformacja jest potrzebna, ale tempo jej realizacji, jakie wyznaczyła Bruksela, jest po prostu nierealistyczne, szczególnie mając na uwadze sytuację, w której dziś się znaleźliśmy. Niestety, boję się, że religijne wręcz podejście do polityki klimatycznej, mogło nas zapędzić w ślepią uliczkę rozwoju. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że powinniśmy wybierać – albo troska o klimat, albo troska o konkurencyjność gospodarki.

Najlepszym przykładem są Stany Zjednoczone, gdzie z jednej strony administracja prezydenta Bidena bardzo naciska na rozwój energetyki odnawialnej, a z drugiej – pomimo bardzo proklimatycznej retoryki – Amerykanie podchodzą do źródeł alternatywnych niezwykle pragmatycznie. Pomimo całego „zielonego PR-u”, w trosce o kondycję własnej gospodarki, pozostają największym producentem ropy naftowej i gazu ziemnego na świecie. Wychodzą – moim zdaniem słusznie – z założenia, że transformację energetyczną można przeprowadzić skutecznie tylko wówczas, gdy źródła odnawialne będą wypierały źródła konwencjonalne w sposób stopniowy. Są oni przygotowani na to, że będzie to proces długotrwały i może trwać 15, 20, 25 albo i więcej lat – m.in. w zależności od tempa rozwoju zielonych technologii, w tym zdolności magazynowania energii. W Europie z kolei zaplanowano na papierze coś, czego zaplanować precyzyjnie po prostu się nie da.



Amerykanie wychodzą z założenia, że transformację energetyczną można przeprowadzić skutecznie tylko wówczas, gdy źródła odnawialne będą wypierały źródła konwencjonalne w sposób stopniowy. Są przygotowani na to, że wszystko będzie zależało od tempa rozwoju zielonych technologii. W Europie z kolei zaplanowano na papierze coś, czego zaplanować precyzyjnie po prostu się nie da.

Wróćmy do kwestii *stricte* gospodarczych – wspominał Pan o branży motoryzacyjnej, czyli sektorze gospodarki, w którym Europa praktycznie od zawsze była, i nadal zresztą jest, potentatem. Czy nie mógłby on być jednym z wehikułów zielonej transformacji? Przecież wiele z rozwiązań z obszaru pojazdów spalinowych można byłoby chyba wdrożyć w pojazdach napędzanych energią elektryczną, korzystając z doświadczenia i *know-how* europejskich producentów samochodów? Natomiast odnośnie potrzebnej w tym kontekście miedzi – ogromne jej złoża znajdują się także w Ameryce Południowej (z czego korzysta nasz KGHM), Australii czy USA, więc chyba dalibyśmy sobie radę z jej dostawami przy pominięciu kierunku chińskiego...

W obszarze samochodów elektrycznych zarówno firmy zza oceanu, z Teslą na czele, jak również chińskie są dziś bardziej zaawansowane od europejskich. Niedawno nawet jedna z amerykańskich wypożyczalni samochodowych, działająca na całym świecie, zdecydowała się kupić całą flotę chińskich „elektryków”, co stanowi pewien dowód zaufania dla tamtejszych producentów.

Jak Pan słusznie zauważył, Europa, w tym w szczególności Niemcy, bardzo zależą od branży motoryzacyjnej. Nie chciałbym wchodzić w rolę Kasandry, ale obawiam się, że w tym kontekście europejskiej gospodarce grozi duże niebezpieczeństwo. Są przecieki, że Apple i Google pracują nad smartcarem, czyli – można by rzec – smartfonem

na kółkach, który diametralnie zmieni pojęcie auta. Wynalazek ten ma wejść na rynek w ciągu najbliższych kilku lat i może jeszcze bardziej skomplikować sytuację niemieckich czy francuskich producentów, którzy nie mają z Amerykanami szans na konkurowanie w obszarze zaawansowanych technologii informatycznych.

Z kolei jeśli chodzi o wykorzystanie europejskich tradycji motoryzacyjnych do produkcji pojazdów elektrycznych – tu także sytuacja nie wygląda sielankowo. Nie licząc nowoczesnych rozwiązań związanych z elektroniką i oprogramowaniem, znacznie łatwiej jest zbudować samochód elektryczny niż spalinowy – jest w nim kilka razy mniej części i są one generalnie mniej skomplikowane. Producenci tradycyjnych aut są tego świadomi – słyszymy już na przykład o francuskiej fabryce produkującej skrzynie biegów, która skłania się ku zamknięciu, wiedząc, że nie będą one wykorzystywane w samochodach elektrycznych. To niebezpieczeństwo jest już dość blisko nas i bez wątpienia zmieni ono bardzo mocno całość europejskiej gospodarki.

”

Nie licząc nowoczesnych rozwiązań związanych z elektroniką i oprogramowaniem, znacznie łatwiej jest zbudować samochód elektryczny niż spalinowy – jest w nim kilka razy mniej części i są one generalnie mniej skomplikowane. To zła wiadomość z perspektywy tradycyjnej europejskiej branży motoryzacyjnej.

Czy Europa ma coś do powiedzenia w obszarze jakiegokolwiek spośród newralgicznych „technologii przyszłości”?

W obszarze głównych technologii jesteśmy niestety w tyle za Chinami i USA. Z kolei rokującymi jeszcze w tym kontekście ośrodkami europejskimi są kraje spoza Unii – mam tu na myśli Wielką Brytanię, jak również Szwajcarię oraz – naciągając nieco geografie – Izrael. Te trzy państwa są regionalnymi potęgami w obszarze sztucznej inteligencji. W pozostałych segmentach „przemysłu przyszłości” takich jak np. robotyka, nanorobotyka, komputery kwantowe czy inżynieria genów, pozycja Europy jest gorsza niż amerykańskich oraz azjatyckich liderów.

Przedstawiane przez Pana predykcje dla Europy rysują się naprawdę fatalnie – z jednej strony nie mamy know-how, by „zadomowić” się w obszarze tzw. nowego przemysłu, a z drugiej strony, nie dość, że tzw. stary przemysł z każdym kolejnym miesiącem traci w Europie swoje dotychczasowe przychody, to jeszcze – za sprawą zamknięcia kurka z tanimi nośnikami energii – drastycznie spada jego konkurencyjność. Zapytam na przekór: czy w takiej sytuacji, aby na pewno nie można wykluczyć, że Niemcy, których gospodarka szczególnie mocno dostała w kość, nie stwierdzą, że w ich interesie leży zmiana głównego sojusznika z USA na Chiny?

Uważam, że nasi zachodni sąsiedzi są dziś tykającą bombą. Obecny kryzys odciął ich od kluczowych z perspektywy przemysłu, tanich surowców z Rosji, a w dodatku ze względu na amerykańską presję, znajdują się oni na etapie odcinania od rynku chińskiego, będącego ich największym rynkiem zbytu na świecie. Cała ta sytuacja jest dla nich wybitnie niewygodna i gdyby nie wojna oraz reakcja na nią opinii publicznej, z pewnością nadal chcieliby współpracować handlowo z Rosją oraz czerpać korzyści z gigantycznego chińskiego rynku zbytu. Gdyby Niemcy zdecydowali się wybrać Rosję i Chiny jako globalnych sojuszników, reperkusje dla Europy i świata byłyby bardzo głębokie.

O ile powrót do bliskiej współpracy z Moskwą, przez wzgląd na wojnę, a w szczególności skalę cierpienia ludności cywilnej, wydaje mi się w najbliższych latach niemożliwy, o tyle nie wykluczałbym całkowicie opcji szukania głównego sojusznika w Pekinie. Niemieckim elitom – w sytuacji potencjalnych problemów wewnętrznych, wynikających z pogarszającej się kondycji gospodarki – nietrudno byłoby o przekonującą retorykę na zasadzie: „to, że USA mają zatargi z Chinami, nie oznacza, że my chcemy je mieć – nasze relacje zawsze były bardzo dobre i chcemy dalej rozwijać współpracę handlową”.

Niechęć do płacenia za konflikt Stanów Zjednoczonych z Państwem Środka może zresztą dotyczyć nie tylko Niemiec, lecz także wielu innych europejskich państw. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Europejczycy mieli być niebawem przekonywani, że w interesie Unii nie leży obstawanie przy jednej ze stron tego konfliktu, lecz pójście własną, niezależną ścieżką, na co przynajmniej kolektywnie się nie zanoszą.

”

Niechęć do płacenia za konflikt USA z Chinami może dotyczyć nie tylko Niemiec, lecz także wielu innych europejskich państw. Nie zdziwiłbym się, gdyby Europejczycy mieli być niebawem przekonywani, że w interesie Unii nie leży obstawanie przy jednej ze stron tego konfliktu, lecz pójście własną, niezależną ścieżką.

W jaki sposób wygląda owa amerykańska presja na zrywanie gospodarczych więzi z Chinami?

Opiera się ona na sankcjach. Jeśli jakaś niemiecka firma chciałaby inwestować w rozwój pewnych zaawansowanych technologii w Państwie Środka, zaczęłaby tym sankcjom podlegać. Amerykanie za wszelką cenę nie chcą dopuścić do tego, by w chińskie ręce wędrowały krytyczne technologie, ani też, by Chińczycy mieli zdolność do ich samodzielnego wytwarzania.

Cóż, Niemcy, będące najsilniejszą, wiodącą europejską gospodarką, stać na kontrowersyjne ruchy nastawione na obronę własnych interesów. Najlepszy przykład z ostatnich tygodni to wielomiliardowy program kryzysowy dla niemieckich przedsiębiorstw oraz społeczeństwa, który zdaniem wielu analityków, stanowi zagrożenie dla utrzymania jednolitego europejskiego rynku...

Tak, program ten już stał się źródłem pewnych pęknięć w Europie – wywołał on wręcz wściekłość we Francji oraz kilku innych krajach, szczególnie że nie był nawet konsultowany z innymi członkami UE. Co on tak naprawdę oznacza? Powiedzmy, że pewien producent w Niemczech sprzedawał swój produkt za 3 euro, wydając 1 euro na energię w procesie produkcyjnym, a ponieważ cena energii wzrosła teraz do 2,50 euro, to niemiecki producent dostanie od państwa rekompensatę, ograniczającą wzrost tego kosztu. W tym samym czasie producenci tego samego wyrobu z Hiszpanii, Włoch czy Francji na taką rekompensatę nie będą mogli natomiast liczyć, co wydatnie obniży ich konkurencyjność na europejskim rynku względem przedsiębiorstw niemieckich.

Więksi mogą więcej?

Niemcy mają w ręce argument, że choć pomoc w wysokości 200 mld euro jest bardzo jednostronnym posunięciem, wspierającym tylko i wyłącznie niemieckie podmioty i społeczeństwo, to jednak leży ona tak naprawdę w interesie całej Europy i Europejczyków. Bazuje on na przekonaniu, że nasz zachodni sąsiad, jako największa i najsilniejsza unijna gospodarka, stanowi siłę napędową również dla wielu innych regionalnych gospodarek, w tym również dla polskiej. Dobra kondycja gospodarki wiodącej oznacza dobrą kondycję jej zagranicznych partnerów. Z kolei jej kryzys czy upadek oznacza pociągnięcie tychże w dół.

I jakkolwiek podejście to nie byłoby niesprawiedliwe, jest w nim sporo racji – gdy w samolocie następuje awaria, maskę tlenową najpierw powinien założyć dorosły, a następnie pomóc w tym siedzącemu obok dziecku, a nie na odwrót, gdyż dziecko nie będzie w stanie pomóc w tej czynności dorosłemu. Tak samo zachowują się dziś Niemcy – mówią, że oni jako pierwsi założą maskę tlenową i pomogą reszcie Europy, bo w innym wypadku nikt nie ocaleje.

”

Gdy w samolocie następuje awaria, maskę tlenową najpierw powinien założyć dorosły, a następnie pomóc w tym siedzącemu obok dziecku, a nie na odwrót, gdyż dziecko nie będzie w stanie pomóc w tej czynności dorosłemu. Tak samo zachowują się dziś Niemcy – mówią, że oni jako pierwsi założą maskę tlenową i pomogą reszcie Europy, bo w innym wypadku nikt nie ocaleje.

Nie zmienia to jednak faktu, że nie mówimy jako Europa jednym głosem. Wygląda więc na to, że pryskają marzenia o silnej, wspólnej unijnej gospodarce – w chwilach kryzysów, zresztą nie tylko, widać, że na pierwszym miejscu znajdują się partykularne interesy poszczególnych członków Wspólnoty...

Zgadzam się, że coraz trudniej jest już mówić o wspólnej polityce gospodarczej całej Unii Europejskiej – widzimy raczej, że ulega ona rozpadowi pod presją napotykanym problemów. Każdy myśli przede wszystkim o obronie własnych interesów – głównie Niemcy, ale też i Włosi, Francuzi, Polacy zresztą również. Zamiast Unii jako całości mamy więc coraz bardziej do czynienia z dwudziestoma kilkoma pojedynczymi państwami – zresztą warto się zastanowić, czy *de facto* nie było tak już wcześniej, tylko że dobrze przypudrowane „wspólnotowym” PR-em.

Mając na uwadze dobro polskiej gospodarki, bardzo przecież mocno związanej z niemiecką, powinniśmy zatem chyba cieszyć się z pakietu pomocowego dla naszych sąsiadów?

Jest w tym pewna racja – choć oczywiście, w warstwie PR-owej jest to u nas często przedstawiane zgoła odmiennie. Mam wrażenie, że niektórzy z satysfakcją mówią o problemach Niemiec, o tym, że nie tylko nasz przemysł ma kłopoty, ale również i niemiecki etc. Jednakże tak naprawdę ciesząc się z tego, cieszymy się *de facto* z własnego upadku, gdyż nasi zachodni sąsiedzi są naszym największym partnerem handlowym, jesteśmy do niego „podczepieni” jako bardzo ważni dostawcy.

”

Niektórzy z satysfakcją mówią o problemach Niemiec, o tym, że nie tylko nasz przemysł ma kłopoty, ale również i niemiecki etc. Jednakże tak naprawdę ciesząc się z tego, cieszymy się *de facto* z własnego upadku, gdyż nasi zachodni sąsiedzi są naszym największym partnerem handlowym.

Dotychczas ten układ przynosił nam wielkie korzyści, cała polska gospodarka ogromnie na tym skorzystała. Swoją drogą, pozwalało nam to być beneficjentami globalizacji – Niemcy sprzedawali swoje produkty na całym świecie, a my jako ich partnerzy, również czerpaliśmy z tego zyski. W obecnej sytuacji owa zależność może zacząć nam ciążyć, dlatego powinniśmy dążyć do jak największej dywersyfikacji.

Wydaje się, że w obecnych realiach mamy na to rzeczywistą szansę.

Zdecydowanie, czego najlepszym przykładem jest możliwość uczestnictwa w modelach *nearshoringu* czy *friendshoringu*. Polska ma bardzo dobre predyspozycje do tego, by być ważnym dostawcą w nowych, skróconych łańcuchach wartości, mamy też potencjał do tego, by niektóre z nich przechwycić do nas – i to nie tylko z Dalekiego Wschodu, ale również z Rosji czy Ukrainy.

Choć warto mieć też na uwadze drugą stronę tego medalu – przed pandemią i wybuchem wojny w Ukrainie, światowa gospodarka funkcjonowała według logiki najniższych kosztów – zarówno pod kątem siły roboczej, jak i surowców – dlatego też tak wiele procesów produkcyjnych zostało przez zachodnie firmy przeniesionych do Azji. Ich relokacja do droższych lokalizacji spowoduje podniesienie cen produkowanych towarów, co będzie dalej napędzało inflację. Skoro jednak mamy do czynienia ze zmianą ogólnej logiki, czyli prymacie bezpieczeństwa nad kosztami, powinniśmy myśleć egoistycznie i starać się zagarnąć jak najwięcej procesów – przede wszystkim tych wysokomarżowych – dla siebie. Inne państwa z regionu Europy Środkowo-Wschodniej z pewnością będą chciały z nami o nie konkurować.

Z tego co rozumiem, obecny obraz Polski w kontekście globalizacyjnych zmian wygląda tak, że na płaszczyźnie współpracy z niemiecką gospodarką możemy relatywnie tracić na znaczeniu, lecz z drugiej strony mamy szansę zyskać za sprawą przenoszenia do naszego kraju części łańcuchów dostaw. Jak oceniłby Pan ogólny bilans tych zmian?

Zobrazowałbym to taką oto metaforą: razem z pozostałymi państwami europejskimi jesteśmy w windzie, która spada. Jednakże w windzie tej znajdują się rozmaite piętka, po których – mimo ogólnego spadku – się wspinamy, aby czekający nas upadek w pewien sposób zamortyzować. Względnie, w skali Europy, zyskujemy, natomiast bezwzględnie, w skali świata, jednak tracimy.



Razem z pozostałymi państwami europejskimi jesteśmy w windzie, która spada. Jednakże w windzie tej znajdują się rozmaite piętka, po których – mimo ogólnego spadku – się wspinamy, aby czekający nas upadek w pewien sposób zamortyzować. Względnie, w skali Europy, zyskujemy, natomiast bezwzględnie, w skali świata, jednak tracimy.

W jaki sposób na przyszłość naszej gospodarki może się natomiast przełożyć toczony tuż za naszymi granicami konflikt wojskowy?

Kiedys ta wojna się skończy – nie wiem na jakich warunkach, nie wiem kiedy, ale na pewno się skończy. W jej następstwie Ukraina już jest zniszczona, a będzie jeszcze bardziej, więc trzeba będzie ją odbudować. Jako największy – nie licząc oczywiście Rosji – graniczący kraj, możemy stać się hubem rozwojowym dla naszych sąsiadów. Dlatego w tym momencie polskie firmy powinny zawierać jak najwięcej *joint ventures* z podmiotami ukraińskimi, aby gdy konflikt się zakończy, wejść z całą siłą na ten rynek i pomagać w jego odbudowie. Może to być dla nas bardzo opłacalny biznes. Musimy jednak uważać – chrapkę na dominujący udział w odbudowie Ukrainy mają również znacznie silniejsi ekonomicznie i finansowo gracze, w postaci Niemiec i Francji.

Czy myśląc o większej sile przebicia Polski oraz Europy Środkowo-Wschodniej w skali kontynentu, nie warto byłoby pomyśleć o wskrzeszeniu inicjatywy Trójmorza?

Teoretycznie jest taka możliwość, ale obawiam się, że mamy zbyt małą siłę polityczną i gospodarczą, żeby to zrealizować. Już teraz – w związku z wojną – jako państwo frontowe jesteśmy bliskimi sojusznikami Stanów Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii, czyli dwoma podmiotami spoza UE. Będąc na kontynencie europejskim, szczególnie w tak niespokojnych czasach, warto „trzymać się” z jego rdzeniem.

Na sam koniec – jakie nasze potencjały warto wykorzystać, by polska gospodarka oraz firmy mogły zaistnieć w nowej erze globalizacji?

Na początku rozmowy mówiliśmy o tym, że globalizacja usług digitalnych, przekazu danych i informacji dopiero się rozpęda. W tych obszarach na pewno nie można mówić o deglobalizacji. Uważam, że właśnie tutaj Polska może wybić się na czoło państw europejskich. Mamy bardzo duży potencjał, objawiający się szeroką rzeszą specjalistów z branży IT, którzy są na świecie dobrze znani i cenieni. Naszą „wizytówką” jest bez wątpienia przemysł gier komputerowych, w którym to obszarze jesteśmy jedną ze światowych potęg. Warto rozwijać tę specjalizację, jak również wiele rozmaitych cyfrowych usług – mamy kompetencje i wiedzę, by w wypadku niektórych wybić się na czoło stawki.



Mamy bardzo duży potencjał, objawiający się szeroką rzeszą specjalistów z branży IT, którzy są na świecie dobrze znani i cenieni. Naszą „wizytówką” jest bez wątpienia przemysł gier komputerowych, w którym to obszarze jesteśmy jedną ze światowych potęg. Warto rozwijać tę specjalizację, jak również wiele rozmaitych cyfrowych usług – mamy kompetencje i wiedzę, by w wypadku niektórych wybić się na czoło stawki.

O rozmówcy

Prof. **Mariusz Orłowski** – wykładowca i badacz fizyki półprzewodników Virginia Tech University w Stanach Zjednoczonych. Od 1984 do 2008 r. pracował w przemyśle półprzewodnikowym w firmach Siemens, Motorola, STMicroelectronics i Freescale w USA, Niemczech, Francji i Rosji. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Partnerzy



Pomorski Fundusz Rozwoju
sp. z o.o. z siedzibą w Gdańsku



Spółka Samorządu
Województwa Pomorskiego



Partnerzy numeru

